

Krzysztof Wołodźko: Freelancer. Rzecz o nowym zniewoleniu pracą

Freelance to budowana przez media legenda, mit, w którym jednostka łączy pasję z sukcesem finansowym. W rzeczywistości freelancerzy to zwykle ludzie na umowach śmieciowych lub samozatrudnieni zaludniający świat prekariuszek i prekariuszy - pisze Krzysztof Wołodźko dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Prawo (do) pracy”.

Zmiany są niezmienną cechą współczesności – kulturowa, społeczna i gospodarcza rzeczywistość współbrzmia w tym względzie zdumiewająco. Ta stała jest fundamentem niespójności świata. Rzecz jasna, w skali jednostkowej mamy prawo zaprzeczyć tej obserwacji. Wydaje się jednak, że niestabilność życiowa jest coraz powszechniejszym doświadczeniem kolejnych roczników wchodzących w smugę cienia. Przesuwa się również granica dojrzałości, pojmowanej jako wejście w stabilną porę życia. Już nie ukończenie studiów, zdobycie zawodu czy tytułu magistra i pójście do pracy, ale czas między 30. a 40. rokiem życia staje się okresem sięgania dojrzałości.

Poszukiwanie i zmienianie pracy, migracje ekonomiczne, rozwody, brak zakorzenienia sprawiają jednak, że dojrzałość przestaje się kojarzyć np. z zajmowaniem coraz ważniejszej pozycji w wielopokoleniowej rodzinie oraz stabilnym awansowaniem w ramach tego samego zakładu pracy. Zarówno świat konserwatywnych, jak i socjaldemokratycznych struktur społeczno-gospodarczych został pożarty przez żądający ciągłej

elastyczności ultraliberalny model kapitalizmu. Życiowa stabilność staje się coraz częściej przywilejem, a nie normą. Równocześnie niestabilność przedstawiana jest przez kulturę masową jako coś atrakcyjnego i ożywczego. Wiele jednak wskazuje, że pozorny duch rewolty, którym uwielbia grać popkultura, stanowi narzędzie utrzymania społeczno-ekonomicznego ultraliberalnego status quo.

Niestabilność życiowa jest coraz powszechniejszym doświadczeniem kolejnych roczników wchodzących w smugę cienia

Nie mogło się obyć bez tego wstępu przy okazji rozważań o pracy freelancerki i freelancera. Nie pozostaje bowiem bez znaczenia, że to termin oznaczający

pracę zarobkową w realiach kapitalizmu bez zobowiązań. Czy może ściślej: w realiach podmiotów rynkowych starających się za wszelką cenę znacznie ograniczyć swoje społeczne zobowiązania. Aby lepiej uchwycić kontrasty i głęboką niejednoznaczność tej formy zarobkowej aktywności, na pracę tę warto spojrzeć dwojako.

Pierwszy sposób bliższy jest ultraliberalnym mitom. Freelance to fascynująca, niczym nieskrępowana, nieustannie nastawiona na samorealizację i ciągły rozwój forma zarobkowania, nieledwie magicznie łącząca pasję z sukcesem finansowym. To legenda budowana przez media przeznaczone dla wzbogaconej inteligencji (tak rozumiem polską klasę średnią), czyli nielicznych naprawdę solidnie zarabiających dziennikarzy i publicystów, wyższego segmentu ludzi z marketingu, dobrze sytuowanych osób ze środowisk artystowskich. Któż nie chciałby być freelancerem z tej neoliberalnej baśni?

Kłopot w tym, że w rzeczywistym świecie freelancerki i freelancerzy to zwykle ludzie na umowach śmieciowych lub samozatrudnieni. To oni zaludniają świat prekariuszek i prekariuszy – choć równie dobrze można mówić po prostu o pracownikach i pracownikach umysłowych słabiej zarabiającej inteligencji, niekiedy pozbawionych wszelkich ubezpieczeń społecznych. W Polsce zaczęło ich przybywać po ogłoszeniu pakietu antykryzysowego w 2009 roku. Wtedy to w najważniejszych mediach w Polsce ta cała młodointeligencka drobica, która na ogół głęboko wierzyła w realny liberalizm gospodarczy, zaczęła być masowa uśmieciowiana. Później wielu z tych, którzy szerzyli kult samorealizacji, spostrzegło, jak gorzko smakuje ona bez etatu – albo że długoletnie przebywanie w niestabilnych warunkach zawodowych zdecydowanie utrudnia rozwijanie pasji i osiągnięcie długofalowych celów.

*Pozorny duch rewolty, którym
uwielbia grać popkultura,
stanowi narzędzie utrzymania
społeczno-ekonomicznego
ultraliberalnego status quo*

Jest rzeczą
znamienną, że w
ostatnich latach
ukazało się kilka
książek
opowiadających o
rozczarowaniu
polskim modelem

życia zawodowego – pisanych już z perspektywy ludzi młodych, trzydziestokilkuletnich. Myślę choćby o świetnym reportażu „Nie hańbi” Olgi Gitkiewicz, o ostatniej książce Rafała Wosia, czyli „To nie jest kraj dla pracowników”, oraz o „Zawodzie. Opowieściach o pracy w Polsce. To o nas” Kamila Fejfera. Autor tej ostatniej lektury jest zresztą twórcą sarkastycznego internetowego profilu „Porażka. Magazyn świadomego tryharderiatu”.

Termin „tryharderiat” powstał na bazie terminu „prekariat” i angielskiego zwrotu „try harder” – próbuj mocniej. Stworzony przez Fejfera bardzo szybko zdobył popularność. Trochę szkoda, że książka nie udźwignęła powodzenia prześmiewczego magazynu. Na marginesie: tryharderiat to wiele mówiące określenie. Świat pracy trzydziestokilkulatków nie jest bowiem jedynie niestabilny zawodowo i finansowo niepewny. To świat, w którym – fałszywa – obietnica głosi, że jeśli postarasz się bardziej, z pewnością odniesiesz sukces. To świat nowej coachingowej szarlatanerii, znakomicie opisanej w nie dość chyba nagłośnionej w Polsce książce „Pętla dobrego samopoczucia” Andrew Spicera i Carla Cederströma.

Obietnica samorozwoju i presja na ciągłe „staranie się bardziej” nie uwzględnia szeregu obiektywnych czynników społeczno-gospodarczych, w sieci których żyją jednostki – choćby tego że kapitał kulturowy i ekonomiczny jest dziedziczony, a awans społeczny bez mocnego wsparcia państwowego jest w skali masowej znacznie utrudniony. Dziś w Polsce zresztą na ogół dobrze już widać, że to bardzo konkretne czynniki środowiskowo-rodzinne decydują o tym, czy „starające się bardziej” jednostki wejdą do wąskiej grupy wzbogaconej inteligencji, czyli tzw. polskiej klasy średniej, czy też będą musiały ratować się ucieczką na emigrację lub zadowolić się funkcjonowaniem na niższych szczeblach drabiny. A co dopiero mówić o mocnym awansie społecznym dzieci z rodzin współczesnego proletariatu do warstw uprzywilejowanych?

Krytyczna ocena współczesnej pracy może budzić sprzeciw u tych, którzy boją się, że wszelkie tego typu poglądy wynikają z perwersyjnej tęsknoty za PRL i nie uwzględniają szeregu transformacyjnych

Obietnica samorozwoju i presja na ciągłe „staranie się bardziej” nie uwzględnia szeregu obiektywnych czynników społeczno-gospodarczych, w sieci których żyją jednostki

dobrodziejstw. Ale to fałszywa perspektywa, paraliżująca swobodną dyskusję o współczesnych problemach i blokująca wszelkie próby zmiany sytuacji choć na trochę lepszą dla pracowników i

pracownic najemnych. Dziś, jak się wydaje, to demografia i migracja zarobkowa są głównymi motorami zmian na rynku pracy, dzięki którym także pracująca inteligencja coraz częściej mówi „nie!” – zarówno pracodawcom, jak i realiom rynku pracy. Wciąż jednak przed nami pogłębiona dyskusja nad realiami pracy po polsku i tego, jak wyzwolić życie społeczne spod presji panekonomizmu. Choć intelektualiści w Polsce raczej nie są skłonni o tym zbyt wiele mówić, coraz wyraźniej widać, że rodzimy model peryferyjnego kapitalizmu i realia rynku pracy to nie problem ściśle ekonomiczny, ale bardzo silny determinant społeczny: decydujący o przyszłości kolejnego pokolenia.